



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## POGA WĘDKA.

Mamy tedy inanguracją urzędową jesiennego sezonu; myślicie, że mówię o deszczach, które padać zaczynają, o chłodach, które lekkim dreszczykiem już nas rano i wieczorem przejmują, o wczesnych zmrokach i długich wieczorach, z którymi jeszcze, nie bardzo wiemy, co robić; nie, ja mówię o wystawie nasion w muzeum rolniczo-przemysłowem i o koncertach na dobroczynne cele.

Mamy tedy pierwszą zapowiedzianą wystawę jesienną, opóźnioną wprawdzie o dni kilka, ale tak być powinno zawsze, jeżeli się ma stać... za dość wystawczej tradycyi.

Wielka, wspaniała sala muzealna zamieniła się w duży, zbiorowy nasiennik. W słojach, workach, gablotkach, pod kloszami i w fantastycznych sнопach i bukietach widać przeróżne gatunki zboża, jarzyn, roślin pastewnych. Dla specjalisty, gospodarza, rolnika jest tu na co patrzeć i co podziwiać, jest się nad czem zastanawiać; p. Tymoteusz Łuniewski, z Korytnicy w Siedleckiem, wystawił np. kilkadziesiąt odmian kartofli, uprawianych przez siebie ze szczególniejszem zamięłowaniem.

Dla zwyczajnego śmiertelnika kartofle o tyle przedstawiają się, jako okaz zajmujący, oile są na półmisku, pieczone, gotowane, duszone, lub przysmażane, zwłaszcza z dodatkiem pieczeni i sosu; ale dla hodowcy, gorzelnika, lub technologa każda z tych odmian ma w sobie jakiś specjalny interes, jakąś odrębną własność, która go więcej zajmuje w surowym ziemniaku, aniżeli w najsmaczniej przyrządzonym przez kucharza.

Wystawców w tym roku zgłosiło się tylko

czterdziestu, a zatem prawie o połowę mniej, aniżeli w roku ubiegłym; nie jest to dużo, ale bez tego nie byłoby wystawy.

Utrzymują, że ściągnęła ona „ciekawych“ aż z zagranicy, a mianowicie z Niemiec; jeżeli to prawda—to powinszować. Może się opłaci nawiązaniem nowych stosunków handlowych, których przy podwyższeniu kursu naszej waluty zagranica jaknajwięcej pragnąć należy.

Zdarzają się nam, co prawda, od czasu do czasu dobre interesa, nawet liczbami udowodnione, ale to rzadko i zwyczajnie na początek, jakby dla zachęty i dla wypróbowania naszej wytrwałości i energii przedsiębiorczej.

Oto towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu po pierwszym roku swej działalności zamknęło bilans z zyskiem, wykazującym przeszło 11% od zakładowego kapitału, który wynosił 300.000 rs.

Wywieziono zagranicę 16.524 beczek okowity, czyli 845.630 1/2 wiader.

Ciekawy jestem, ile z tej ogólnej ilości wypijemy sami w winach i koniakach, sprowadzanych po przerobieniu do kraju?...

Spodziewać się można, iż drugi rok działalności towarzystwa spirytusowego, które długo się certowało, zanim się zawiązało u nas, będzie jeszcze pomyślniejszym.

Niechaj się zagranica spija naszą okowitą, byleśmy z tego dochód mieli; z tem rozumowaniem arendarza na dorobku rozpocznie towarzystwo drugi rok swoich praktycznych spekulacji i nie pozostaje mi nic innego, jeno jemu życzyć powodzenia a zagranicy: „na zdrowie!“.

Spekulują na nas i zarabiają wszelakiego rodzaju *auslaenderzy*: niech i nam uda się zarobić cośkolwiek na nich—nieprawdą?..

Omial że nowy cudzoziemiec nie odebrał nam w tych czasach ogrodu zoologicznego, który poza instytucją pożyteczną i przyjemną jest także wcale dobrem przedsiębiorstwem pod wzglę-

dem finansowym. Chodziło o sprzedaż posesyi i o nabycie jej przez akcyonaryuszów zwierzyńca od dzisiejszego właściciela, inaczej Bagatela, w której się mieści dzisiaj ogród zoologiczny byłaby przeszła w obce ręce, które mogły przekonać spółkę udziałową, że stosunki z nowym gospodarzem—to nie bagatela wcale.

Zwoływano dwa posiedzenia akcyonaryuszów i na drugim ostatecznie jakoś sprawę pomyślnie załatwiono; postanowiono wypuścić nową serją akcyi na 60.000 rubli i załatwić sprawę nabycia ogrodu z zabudowaniami.

Przy zwierzyńcu znajduje się dzisiaj, wcale pokazne, jak na tak krótkie istnienie swoje, muzeum etnograficzne i fizjograficzne, którego dyrektorem został (bardzo szczęśliwy wybór!) Dr. Karłowicz, znany uczony, redaktor *Wisły*, człowiek energiczny, obrotny i zamięłowany w swoim przedmiocie.

Dotychczas muzeum rosło przeważnie z ofiar prywatnych; powoli znacznie powiększać się z własnych dochodów, a z czasem może na jego korzyść da się z innych jeszcze źródeł zaczerpnąć fundusze.

Wierzajcie mi, że takie muzeum, to wcale interesująca instytucja; można w niem wiele się nauczyć, wielu ciekawym rzeczom się przypatrzyć, poznać zasoby kaju, jego faunę i florę, jego przemysł, jego lud i wszystko, co stanowi zewnętrzną jego charakterystykę tegoz.

Nad wejściem zamieściłbym wiersz Brodzińskiego: „Cudze chwalicie, swego nie znacie—sami nie wiecie, co posiadacie“.

A przecież to stary i mądry autor przysłów i maxym, protoplasta naszych Fredrów w literaturze, powiedział kiedyś pięknie, że „cudze wiedzieć rzeczy—dobrze jest, a swoje potrzeba“.

Tylko taki napis na ścianie nie na wiele się przyda, jeżeli go sobie nie przekopiujemy i w pamięci, i w sercu. Mamy brzydkie uprzedzenie do tego, co nasze; wszystko jedno, czy to na-

tura, czy okolica, czy przemysł, czy człowiek, czy literatura, czy sztuka; u obcych smakuje nam i podoba się lepiej wszystko, dla cudzoziemczyzny jesteśmy i łaskawsi, i pobłażliwsi, i chętniejsi, i ciekawsi mimo to, że w teorii, w pięknych słówkach na ten wyraz *nasz* kładziemy zwykle wielki nacisk.

To brzmi tak ładnie i sprawia zawsze dobre wrażenie...

Ale w praktyce dałoby się dużo powiedzieć o stosunku słowa do czynu.

Owiele więcej zajmujemy się nieraz nowym tenorem, który gdzieś we Włoszech, zamiast odlewać figurki z gipsu, lub golić brody swoim rodakom, „poświęcił się sztuce“ i do wysokiego C. wzłata na skrzydłach... kogutów, aniżeli kwestyą naszego dobrobytu, oświaty, reformy stosunków społecznych lub ekonomicznych. Z tego względu lepiej się u nas wiedzie pisemkom brukowym, niż poważnym wydawnictwom, które chromają nieustannie na swojej drodze, obciążone balastem nauki i gruntownych studyów, prowadzonych najczęściej dla miłości wiedzy i dla idei tylko.

Czyż to nie wstyd, aby w społeczeństwie, mającym pretensy do europejskiej cywilizacji i do dojrzałego sposobu myślenia, wszystkie niemal poważniejsze organa prasy utrzymywały się jedynie ofiarnością prywatną i nie mogły wychodzić o własnych siłach!.. Nie chcę przypominać corocznych zabiegów i trudów około wydawnictwa takiego „Pamiętnika fizyograficznego“, nie chcę przypominać dzieł „Wszczęświata“, nie dotykam takiej „Wisły“, o której istnieniu nie wszystkim może nawet dobrze wiadomo, pomimo tego, że pismo to redagowane wybornie, ożywione, urozmaicone doborowami artykułami zasługuje ze wszech miar na czytanie i poparcie ludzi, rozumiejących znaczenie fizjografii i jej pożytek, nawet dla szerszej publiczności.

Nasze miesięczniki, dwutygodniki i tygodniki (te ostatnie z małymi wyjątkami) wiodą żywot pod względem merytorycznym marny, przynoszą straty, zamiast dochodu, mimo to, że im przyznajemy żywotność treści i staranność w redagowaniu.

Niezmiernie ciekawy jestem losu nowego wydawnictwa, które projektuje jedna z pierwszorzędných naszych firm księgarskich; myślę o „Bibliotece dla samouków“, w której na początek ma się ukazać dziełko p. t. „Jak się uczyć i jak uczyć innych“?

W pomysł wydawnictwa takie wydaje mi się bardzo szczęśliwym i bardzo potrzebnym; popularyzowanie nauki według ostatnich wyników badań jest dzielnym środkiem rozszerzania oświaty, rozbudzania zamilowania i smaku do pożytecznych wiadomości, do poważniejszego czytania i kształcenia umysłu.

Współpracownictwo w Bibliotece mając przyjąć najcelniejsze nasze siły pedagogiczne na polu historii, geografii, językoznawstwa, nauk przyrodniczych i t. d. Zapowiada się przeto rzecz sama poważnie i obiecująco: idzie teraz z jednej strony o wykonanie, a z drugiej o poparcie przedsięwzięcia, które ma dobro i pożytek umysłowy średnich warstw na celu.

Niemcy, Francuzi, Anglicy mają takich podręczników bez liku, mogą bez nauczyciela czerpać potrzebne wiadomości wprost z książki, która im w sposób jasny, przystępny, zrozumiały dla wszystkich tłumaczy, jak żywa osoba, jak profesor z katedry rozmaite rzeczy naukowe i zastępuje poniekąd wykład szkolny, nie dla wszystkich dostępny i łatwo strawny.

Słyszałem też o innym projekcie wydawniczym, który zapełnić ma lukę dość ważną w naszej literaturze podręcznikowej: oto robią się podobno przygotowania do wydania całej seryi „przewodników po kraju“, coś na wzór Baedekera po części, a po części z fizyograficznym charakterem. Mówimy o Lubelskiem, Płockiem, Siedleckiem, Kaliskiem, ale mówimy najczęściej, jak o żelaznym wilku; niby to tak blisko od nas, a jednak dalej, niż do Kamerunu i chyba bardzo często więcej potrafilibyśmy powiedzieć o Fernando Po, niż o Ojcowie, lub Druskiennikach.

Ja sam, który tak gorąco zachęcałem dole-

tnich wycieczek po kraju, w celu zwiedzenia piękniejszych okolic, poznania większych miast prowincjonalnych, zabytków dawnych i miejsc godnych pamięci, spotykałem się z kłopotliwym zapytaniem:

— Mój dobry panie, a w jakie sposób najlepiej ułożyć sobie marszrutę, gdzie znaleźć wskazówki do takiej podróży, jaką książkę przeczytać przed tem, aby choć trochę poznać z opisu strony, w które się wybieramy?

Ba, w tem sęk!.. takiego krótkiego podręcznika, którego by się z sobą zabrało do sakwojażu i wertowało w drodze, któryby zwięźle, krótko a możliwie wyczerpująco mówił o danej gubernii, mieścił statystyczne, historyczne, informacyjne i t. p. dane nie było dotąd.

Prowincjonalne kalendarze, za przykładem najlepszego w tym rodzaju *Kalendarza Płockiego*, mogły dostarczyć jeszcze jakiego, takiego materiału; ale to nie wystarczające, nie odpowiednio do właściwego celu dla turysty, albo dla kogoś, któryby w swoim własnym gabinecie, nie ruszając się ze swego fotelu, chciał odbyć podróż malowniczo-naukową po ważniejszych okolicach kraju.

Teraz, jeśli przyjdzie do skutku projekt wydania takich szczegółowych „Przewodników“, braków zostanie wypełniony; nie jest to przedsięwzięcie łatwe i tanie; potrzebować będzie pracy zbiorowej i kosztów, ale powinny się opłacić.

Powiedziałem na wstępie, że niewątpliwymi oznakami jesiennego sezonu, oprócz charakterystycznych znamion w naturze i świadectwa kalendarzowego, są i... koncerty na cele dobroczynne. Szereg ich rozpoczął sobotni koncert na towarzystwo ratowania tonących, urządzony w sali ratuszowej, po którym nastąpić ma niebawem koncert zapowiedziany na dochód restauracji spalonego kościoła św. Marcina.

Potem już zwyczajnym trybem pójdą inne, a adwent zaszeleści afiszami, programami i biletami aż do zbytku. Towarzystwo Dobroczynności już teraz czyni przygotowania do nowej „Gwiazdki“ której złote promienie mają wypełnić puste skarby filantropijne. Pan Kazimierz „ze szczęśliwą ręką“ (rozumie się, że mówię o p. Kazimierzu Dobieckim), ma wrócić do stery i ruszyć niewyzerpanym konceptem, aby miłosierną Warszawę zwabić nowymi sztuczkami i pomysłami do największych sal, jakie służą ku publicznym zgromadzeniom, z największą ilością mamony, potrzebnej chorym starcom i głodnym sierotom.

Kiedy p. Dobiecki coś w tym rodzaju urządzi, można z góry wziąć w entrepryzę koncert, raut, widowisko, czy jakkolwiek szopkę, zapłacić sumę przypuszczalną i jeszcze zrobić na tem dobry interes. Istnieją bowiem rozmaite specjalności publiczne, a pan Kazimierz „szczęsnoręki“ ma specjalność organizatorską, która sporo grosza przyniosła już ubogim: zabiera ona dużo czasu, wymaga wiele kłopotliwej pracy, sprytu, zbiegliwości i stosunków, przysparza dużo zajęcia i najczęściej oprócz zadowolenia własnej ambicyi i przekonania o spełnieniu dobrego uczynku, przynosi tylko zmęczenie, kwasy i drobne nieprzyjemności w zysku.

U nas nie łatwo robić dobrze, a do tego szybko; wszystko musi się odleżeć, zahaczyć sto razy, potknąć, obijać o rozmaite kanty, zanim dojdzie nareszcie do celu.

Kto się kiedykolwiek dotykał takiej roboty, ten wie o tem z przekonania.

Długo czekaliśmy na jakąś pewniejszą wiadomość w sprawie założenia przytułku dla dziewcząt na wzór osad rolnych w Studzieńcu dla małoletnich przestępców; obecnie sprawa ta weszła na drogę urzeczywistnienia. Wypracowano nareszcie projekt, podany już do zatwierdzenia władzom wyższym; z niego dowiadujemy się, że przytułek ma być urządzony dla 50 dziewcząt oddawanych tutaj z wyroku sądu, lub przez władze administracyjne za rozmaite przestępstwa przeciw przepisom policyjnym i ustawom karnym; że rodzice lub opiekunowie będą mogli na poprawę umieszczać w rzeczonyj instytucyi swoje wyrodne córki lub wychowanki; że przynajmniej przez trzy lata będą one musiały pozostawać

w zakładzie i że tam podnoszone będą moralnie, a obok tego kształcone na uzdolnione kucharki, pokojówki i gospodynie wiejskie i miejskie. Dziewczęta w wieku niżej lat 8-iu i wyżej 14-sta nie mogą być przyjmowane do zakładu poprawczego. Urządzenie przytułku wzorować się ma na tego rodzaju schroniskach szwajcarskich, ale bez okazałych budynków, jakie ma osada rolna w Studzieńcu, do której zastosowano system panujący w Mettray.

Instytucya taka oddawna była potrzebną i pożądaną, a wpływ jej umoralniająca wychowanki, któreby powiększyły proletaryat kobiecy w innym wypadku, okazać się może podwójnie korzystnym, zmniejszając liczbę corocznych ofiar nędzy, upadku, złych skłonności i fatalizmu stosunków. Przecież z tych dziewcząt, walęśających się po błotnistym bruku od dzieciństwa i skazanych na wczesną hańbę, wychować można uczciwe kobiety, nauczywszy je pracować i sprwadziwszy na drogę cnoty i obowiązku, którego poczucie im wcześniej jest w czlowieku zaszelepione, tem dłużej trwa i silniej się zakorzenia; mogą z nich w przyszłości być dobre żony i matki, zamiast istot, rozsiewających tylko brud, zgniliznę, zepsucie i demoralizacyę, której pierwsze padają ofiarą.

Kiedy myślę nad umoralniającym wpływem i zadaniem dobrej kobiety w społeczeństwie, bez względu na warstwę, z której pochodzi, wydaję mi się nawet, że ważniejszą i potrzebniejszą w skutkach może być opieka nad zbłąkanymi dziewczętami, niż nad chłopcami, jakkolwiek w społecznym bilansie każda jednostka ma swoją indywidualną wartość.

Wielką dźwignią dla każdego człowieka jest praca, a zwłaszcza dla kobiety umiejętność jej i zamilowanie bywa dobrodziejstwem, które mnóstwo życiowych kwestyi na drodze jej rozwiązuje, a przynajmniej ułatwia. Nic zgubniejszego dla ciała i umysłu, dla cnoty i moralności niewieściej, nad beczyność i próżniactwo, w jakimkolwiek stanie, w pałacu, czy w lepiancu, a fatalną bywa sytuacya kobiety, która nie wie „co z sobą robić“ w życiu.

Jest to punkt, z którego najłatwiej wyjść na wszystkie bezdroża i nie wrócić z nich więcej.

Ile razy usłyszę, że przybywa dla kobiet jakaś nowa instytucya, która je uczy ma pracy im właściwej, a przez pracę zapewnia środki utrzymania,—mam ochotę zawołać: *vivat!*... a nie zachwyca mnie to wcale, że Duńczycy wpadli podobno na oryginalny pomysł założenia towarzystwa assekuracyjnego dla... starych panien, któreby nie robiąc, mogły żyć na emeryturze, jako pasożytki ludzkości. Jeżeli nie roztyją się z lenistwa, to wyschną z nudów i tęsknoty, jak szczapy i rozchorują się na *spleen* z pewnością pod opieką takiej instytucyi.

Większą przysługę dla panien chce oddać p. Wojciech Zieliński u nas, który od Nowego Roku ma zamiar otworzyć szkołę handlową żeńską, z programem wyższego zakładu naukowego.

Przyjmowane będą do niej kandydatki z patentem gymnazyjalnym, albo na podstawie egzaminu wstępnego; kurs dwuletni, za opłatą 40 rs. półrocznie. Trochę to zadrogo, jak dla uboższych uczennic, zwłaszcza, że poza towaroznawstwem, rachunkowością, nauką korespondencyi i geografią handlową, języki nowożytnie udzielane będą tylko za osobną dopłatą.

Szkoła dobrze prowadzona, z doborem nauczycieli, z kierunkiem poważnym i praktycznym, może kobietom naszym oddać wielkie przysługi a kupiectwu przysporzyć nowych i pożytecznych sił. Wykwalifikowane buchalterki i korespondentki mogą dzisiaj już liczyć na dobre posady i wcale dostatnie utrzymanie, tylko, że prawdziwie wykształconych w tym zawodzie znajduje się dotąd niewiele. Te, które są, po większej części nie przechodziły teoretycznej nauki i nie odebrały systematycznego wykształcenia w swoim fachu.

Ja wiem, że wiele dzisiejszych panien podziela zapewne zdanie jednej z moich znajomych, która zapytana: czy chciałaby zostać buchalterką dużej firmy bankowej,—odpowiedziała mi: „Wolałabym być tej firmy buchalterową;“ ale dla tych,

które dążą do pewnej samodzielności, nie zarzekając się ochoty do małżeństwa, wiadomość o projektowanej szkole handlowej dla kobiet, będzie zapewne nader pożądaną.

Przechodząc z tematów praktycznych, ale szarych, w jaskrawą dziedzinę sztuki, winniem zwrócić uwagę na poranek benefisowy primadonny naszej tragedii, p. Alexdry Rakiewiczowej, który odbyć się ma w przyszłą Niedzielę w Teatrze Wielkim. Należał się artystce po trzydziestu latach sumiennej i szlachetnej zawsze pracy w zawodzie dramatycznym ten benefis jubileuszowy.

Alexandra Rakiewiczówna—to duży talent i duży materiał na heroinę koturnową, niezużytkowywany, niestety, należycie na scenie, zaprzęgniętej lekkimi gratami komedyi i farsy. W innym repertoarze, w innej atmosferze sztuki, dziś jeszcze znakomita artystka mogłaby zdumiewać publiczność i krytykę grą w wielkim stylu, który zestrzącać musiała w ciągu swojej kariery scenicznej do niższego dyapazonu.

Mam świeżo w pamięci znakomite powodzenie p. Rakiewiczowej we fragmencie dramatu Giacomettiego, w którym grała królową Elżbietę; odsłoniła się w niej na chwilę wówczas heroina tragiczna, z którą nie byłoby komu rywalizować dzisiaj na polskich scenach.

Na poranku benefisowym artystki zobaczyć mamy trzyaktowy dramat Pawła Ferrarego, włoskiego Dumasa dzisiejszej doby, p. t.: „Dwie damy“ (*Due dame*).

Teatr Rozmaitości po „Mysze“, przygotowuje nową francuską komedię: „Chamillac“, a potem znowu coś francuskiego, a potem—zobaczmy. Projektowany jest „Uriel Acosta“ Gutzkova z p. Kotarbińskim w roli tytułowej.

Opera zabiera się do wystawienia „Królowej Saby“ Goldmarcka; muzyce wysoką wartość przyznała zagraniczna krytyka.

Dla zaspokojenia melomanów, którzy na operę chodzą słuchać... oczyma, muszę dodać, że „Królowa Saba“ ma wspaniałą i efektowną wystawę.

Quis.

## CZYTANIE RODZINNE.

(Dokończenie.)

Stara tradycja wychowawcza: strzeżenia nie-dojrzałej wyobraźni przed wrażeniami zbyt gorących obrazów namiętności i życia, przez upadek moralny poniżonego, ma za sobą powagę wszystkich pedagogów i mniej więcej pilnuje się tego wszędzie, gdzie rodzice myślą choć cośkolwiek o dobrem wychowaniu dzieci. Pełni się to już rutynicznie i istnieje karności domowa, rozciągająca się nad czytaniem zwłaszcza córek, nawet już dorosłych, jeżeli tylko matka chce i umie przewodnictwo moralne nad nimi utrzymać. Ale przychodzi wiek pełnoletności, w którym otrzymuje się już prawo życia na własny rachunek — na własną odpowiedzialność jego strat i korzyści, i tu już osobisty nasz smak estetyczny i gatunkowa wartość umysłu stanowi o rodzaju naszego czytania. Jak sobie dobieramy stosunki towarzyskie, jak zawieramy związki przyjaźni, tak i w świecie książkowym ujawniają się sympatyje nasze, zawiązują „powinowactwa z wyboru“ na zasadzie skłonności umysłowych powstałe. I jak nie myli zdanie: — „Pokaż mi twoich przyjaciół, a powiem kto jesteś...“ tak nie omylimy się również, gruntując nasz sąd o umyśle i, nietylko estetycznym, ale i moralnym, smaku człowieka na zasadzie jego czytania.

Wprawdzie dla jednych książka—to przyjaciel bliski, towarzysz życia niezbędny, dla drugich to coś w rodzaju tych znajomości przygodnych,

które nam niezajęte chwile życia jakotako przepędzić pomagają. W każdym razie przecież książka cechuje nas i uchyla rożek zasłony, po za którą kryje się oblicze indywidualności naszej. Lecz, jak często lekkomyślnie i niewybrednie zawiera się związki towarzyskie, tak lekkomyślnie i niewybrednie czyta się książki, zwłaszcza używające rozgłosu pewnego, który ciekawość naszą lechce. Przez tę ciekawość, przez płochość umysłu sięga nieraz kobieta młoda po książkę, której czytanie ujmę jej przynosi i godności kobiety uczciwej ubliża—a że już dziewczynką nie jest, że życie i jego tajemnice mniej więcej zna, zdaje jej się, że nie popełnia nic złego, zadawalniając chęć swoją, która jej da kilka chwil zabawki. Jest przecież szacowny przymiot czystości myśli, która do siwego włosa towarzyszyć nam może i cechuje to życie nasze, daje mu inny poziom—podniosłość inną niż wtedy, gdy umysłowe zajęcie nasze niskim jest i brudzącem nam myśli.

— „Nie być lecz wyrość trzeba na dziewięć!“ woła poeta, i inny jest szacunek mężczyzny, nawet męża, nawet syna, dla kobiety takiej, która też przez to ubłogosławiający wpływ na otoczenie swe wywiera i nieraz jest to może najsilniejszą zaporą przeciw złemu, któreby chciała od drogich swoich oddalić. Jest pewnego rodzaju majestat, który taką kobietę otacza, nawet w oczach zepsutego człowieka, i na uchybienie mu niełatwo się on porywa wtedy nawet, gdy sam innymi drogami życia chodzi. Uszanowanie to jest enoty czystej i hołd jej składany, hołd, który w oddziaływaniu swoim już się przez to dobroczynnym staje, że cześć piękna moralnego utrzymuje i ideał zadości kobiety, blaskiem jego opromienionej, na wysokim piedestale stawia; to zaś wśród życia stoczków niemało ratuje i staje się nieraz ręką podaną komuś, co już po szczytach licho pędzonego życia na dno upadku miał się stoczyć.

Nigdy też nie zyskuje kobieta na tem, jeśli wchodzi z mężczyzną w pewną kamraderyą lekkiego słowa, w pewną kamraderys drażliwej lektury. Sama wtedy obiera się z największej swej siły i potęgi, z największego swego uroku, który opromienia ją wtedy jeszcze, gdy uroda znika, piękność wędnieje, i ta, która, wraz z mężem, naprzykład Zolę czyta, ani wie jak gasi sobie nad czołem ten blask, niczem niezastąpiony, który jest koroną kobiety czystych uczuć i myśli.

Jakkolwiek czytanie ze względu jego oddziaływań na umysł i stronę uczuć moralną, nigdy uważanem być nie może za luźną rozrywkę i zabawkę jedynie, niemniej bywa ono często rozrywką, bywa zabawą, bardzo wiele w życiu ludzi znaczącą. Po uciążliwej, mniejwięcej mechanicznej pracy zawodowej, po jednostajnych, rutynicznych zajęciach powołania, książka jest przeniesieniem się myśli w świat nowy — w świat wrażeń i stosunków, innych, niż codzienność nasza, i myśl zostaje wprawioną w ruch, tak jej potrzebny, aby zastojowi nie uległa, jak potrzeba go fizyczności naszej dla żywszego krwi obiegu i pracy mięśni. Często zastępuje ona brak towarzysystwa i daje umysłowi obcowanie lepsze, niżby je mógł znaleźć wśród otoczenia swojego, a jakkolwiek książka nie może nigdy być nam całkowicie tem, co wymiana myśli przez słowo żywe, jakkolwiek prawda to nigdy niezbita, że człowiek jest dla człowieka najmilszą wśród stworzenia rzeczą i, jak Mickiewicz powiedział: „Piękne są kwiaty na ziemi cbszarze, ale piękniejsze bliźnich naszych twarze...“ niemniej książka zastępuje nam nieraz człowieka. Jest to telefon, przez który jedna myśl ludzka mówi do drugiej: telefon, mogący gdzieś na zaścianku wiązać nas z całym światem umysłów — z całym światem myśli i uczuć ludzkich, myśli i uczuć powszechności naszej.

Ale nic darmo: życie na wszystko zapracować sobie każe. Książka też, choć jest owocem drzewa wiadomości dobrego i złego, z raju nam jednak nie przychodzi i naród każdy, który chce posiadać literaturę, nietylko produkt myśli swoich, wyrób umysłu swego przynosić tu potrzebuje. Grosz publiczny jest tu koniecznym. Każdy obywatel kraju powinien się poczuwać do pewnego podatku na rzecz litera-

tury ojczyznej, co znaczy, że każdy powinien według możności swojej choć jedną książkę na rok nabyć, i jakąś domową, rodzinną biblioteczkę składać. Jest to tworzenie pewnych ognisk oświaty przez zbiory materiałów oświecających; lecz tu właśnie powinna czuwać, powinna przewodniczyć myśl uważna: co przeważnie miejsce w takich bibliotekach rodzinnych mieć powinno? Obca książkę usuwać dla tego, że obca, byłaby ostracyzmem zbyt surowym, bo w dziedzinie myśli, istotnie musi i istotnie też będzie po wiek wieków rzeczpospolita platońska.—Człowiekiem jestem i nie ludzko-szlachetnego, ludzko-mądrego i pięknego obcem mi nie jest!... Więc dzieło każdego wyższego myśliciela, wyższego w rodzinie ludzkiej pisarza: filozofa, historyka, poety, nie powinno być dotknięte tą wyłącznością zacieśniającą sferę wiedzy i nauki, sferę myślenia naszego, ale niemniej rzeczy swoje przodować tu muszą — powinny.

Przodować muszą już dla tego, że są nam bliższe i przez naturalny życia porządek potrzebniejsze. Oświecenie, oile można wszechstronne — posiadać, możliwe najszerszy zakres wiedzy ludzkiej sobie przyswoić,—znaczy to mieć wykształcenie umysłu wyższe, pełniejsze, które horyzonty myśli naszej niewątpliwie rozszerza i zdobywa nam punkt porównania, broniący przed zacieśnieniem pojęć, przed chińszczyzną umysłową. Ale wiedza rzeczy swoich to obowiązek pierwszy, którego zaniebanie silnie się na życiu i sprawach jego odbija, bo umysł, karmiący się przeważnie obcą nauką, obcą książką, francuską, angielską, cudzoziemczę — myśl uczy się chodzić drogami obcymi i potem nie odzwierciadla już należycie idei rodzimej, nie jest nią dostatecznie przenikniona, i w takt rodzimego uczucia nie pulsuje. Jest też to pewien rodzaj wynaradawiania się bezwiednego, niepojmującego się nawet w winie swojej, i aby tego uniknąć, pamiętać trzeba, że nie można się zanadto książką obcą karmić, nie można bezkarnie w obcej literaturze myśli zatapiać, o czem też należy przy tworzeniu biblioteki rodzinnej pamiętać.

Ale, niestety! książka obca jest tania — tania przecież dlatego, że w tysiącach egzemplarzy wychodzi i ztąd też staje się to powinnością obywatelską, aby każdy, choćby już tylko średnio zamożny człowiek, uważał to sobie za obowiązek grosz jakiś na książkę naszą wyłożyć i wydatek ten w budżecie koniecznych wydatków swoich umieścić, jako coś nieodwołalnego, bo to sposób jedyny, aby owa książka taniała, aby mnożyć się mogły wydawnictwa dobre i ruch myśli naszej, jak krew w zdrowym ciele, krążył w organizmie społecznym i ożywił, odżywił nas umyslowo.

I przekazać to trzeba zstępny naszym — trzeba w edukacji dziecka nietylko zamilowanie czytania, ale i pewne zamilowania tego kierunku szczepić, łącząc to zarazem z uszanowaniem książki; tłumacząc, że jest to narzędzie, które promienie oświaty, promienie myśli uczciwej rozszerza, nie pozwolić, aby po zaspokojeniu ciekawości młodego czytelnika książka szła walać się po kątach, jak zabawka połamana, ale złożona porządnie w szafeczce jakiejś, dawała początek pewnemu zbiorowi — księżnicy, któraby, pomnażając się z roku na rok, wyrabiała w dziecku to dobre bibliofilstwo, rosnące przez nawyknienia, sprawiające, że potem w rodzinach tak wychowanych ludzi tworzą się powoli biblioteczki — zbiorniki światła. W ten sposób książkę pokoleniu pokoleniu oddawać może, wraz z ideą, która tu ruch myśli piśmienniczej ożywiła a puścizna to jest niemałego znaczenia w rozwoju myślenia, w kierunkach myśli rodowej, mającej przejść z rodziców na dzieci i dalej — na wnuki i prawnuki!

A żaden ojciec, żadna matka wiedzieć naprzód nie może jak ta, przez książkę działająca filtracja pojęć, drogę swoją obierze w myśl ich dziecka raz wzięta i jaką pomocą, jaką siłą w życiu jego się zaznaczy. Duch technic gdzie chce... ale to są drogi duchowemu temu techniczeniu przygotowane i znam dziecko sierotę, które bibliotece zebranej przez niezapamiętanego, nieznanego ojca, może całe życie ducha swojego zawdzięcza.

Znalazła tam książkę dobrą, książkę szlachetną, naszą, i brała z nią w pierś dobre, szlachetne, w kierunku stosunków naszych skierowane natchnienie, a odczuwając potem w życiu, że to było wyrocznem dla tego życia skierowaniem, pytała nieraz z lekkim uczuciem przestrachu: co by się stało gdyby tam była znalazła książkę inną—naprzykład coś w rodzaju naturalistycznych utworów dzisiejszej szkoły piśmiennictwa francuzkiego?

M. Ilmicka.

## ZE SPUSCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

„Wzrastaj, Babylonie! Rozplywaj się, Sybaris! Szalej, Sodomo! Zgnilizno, działaj! Zgrzybiałości, wal w gruzy! Kruki, mnożcie się! Wesoło obracaj się, toczydło ślifierskie, i ostrz klingi i brzeszczoty! Blekoty, tojady—rośnijcie, kwitnij—cykuto! Śpiewaj pod szubienicami, mandragoro; jady, zawarte w sitowjach nikczemnych, w krzakach pełzających, w drzewach karłowatych, potężniejcie! Bo to my, straszliwi nieznajomi, przepuszczając cierpkie soki przez tarcze straszliwych celów, robiących wiosnę zabójczynią, jesteśmy powodem przerażającego ro radzania się waszego, o, trucizny! Myśmy rój czarnych ptaków, których przelot obdarza szakala trupem, sowę—pomrokiem nocy, Judasza—workiem złota, Jezusa—pocałunkiem. My widzimy z radością, jak żywa, bieżąca woda zatrzymuje się i gnąć zaczyna w bagnisku; my kochamy to, co pełne nienawiści; naszym dobrym uczynkiem, jest podanie Kainowi siekiery, której połysk odurza czarną duszę. Piekło, bądź prawdą; Cezarze, bądź silnym; tygrysie, bądź pięknym! Niechaj głód twój zawsze będzie zaspakajany, o otchłani grobowa! Różo, przystrajaj się ohydny srebrzem śliny ślimaka. Niechaj zza każdej piękności obrzydły wykrzywiał się szkielec. Wszystko jest fałszem. Z jakiej zbrodni zrodziłaś się, o, enoto? A ty, popiele, jakiego złotego owocu jesteś resztką, odpowiedź!...

„..... Otchłani, trzeba, aby wszystko, co żyje, gniewa się, kocha, porusza się, chodzi, śmieje się, płacze,—zginęło, bo wszystko jest jednym wielkim grobem, trumna — niewidzialną rafą, ku której skłania się, wahając, kołyska; a biały, różowy nowonarodzony — szkieletem, który twoja straszliwa pierś karmi, o, śmierci!—Tak mówi rój buntowniczych demonów — i wszystko, co pod niebios kopułą ze zbrodni się tuczy: fałszywi kapłani, wodzowie krwawi, wichry, uragany, zarazy, rusztowania, śmierć,—wszystko nabiera odwagi.“<sup>1)</sup>

Czarne tło! Pospępne widnokreśli! Królestwo ciemności! Świat pełen zbrodni i nieprawości! Ale poeta, występując do walki z tem wszystkim, z niezachwianą wiarą w zwycięstwo światła, nie przeocza też i jaśniejszych pasemek złotych, wieszczących, że gdzieś tam, za temi chmurami, za temi mrokami, daleko, daleko, jaśnieje jednak ogromne, promieniste, olśniewające słońce dobra, piękna ideału, które kiedyś potęgą blasku i żaru swego rozbije cieniów zasłonę i świat zaleje potokami światła i... szczęścia. Jakby chcąc dodać odwagi sobie i tym, którzy za nim pójdą, aby wśród ponurej pomroki teraźniejszości nie wpadli w zwątpienie równające się zgubie, — chwytając on, przeciwnie, z całą skwapliwością najlżejsze, najlotniejsze z tych błysków, odzwiercie-

dła je z całą świetnością w kryształowej krynicy poezji swej i wskazuje na nie z uniesieniem i tryumfem, jako na zapowiedź lepszych dni przyszłych, jako na świadectwo, że zwycięstwo złego chwilowem, pozornem jest tylko, że Aryman w zupełności nie zawładnął światem: bo oto w ciszy nieznacznie zbierają się wiernie bogu światła zastępy; bo oto tu i owdzie, choć nieśmiało, kielkują dobra posiewy, które kiedyś wzrosną, spotężnią i zgłuszą chwast i kłakole.

Oto jedno z takich dobrowróbnych światelek, oto wielkie, święte—śród barbarzyństwa wieków pierwotnych—poczucie obowiązku względem gości, podróżnych i zblakanych, zwyczaj szlachetnej gościnności, przechodzącej z ojca na syna, z dziada na wnuka, zapominającej uraz, przebaczącej winy, nietylko temu, który pod strzechą naszą przytułek znalazł, ale nawet dzieciom i dalszym potomkom jego. W precudnym ustępie, najpiękniejszym może z całej księgi I-ej, poeta podjął ten temat, a charakterystyczna prostopadła i jędrność dyalogu w tej historii o „Szeiku i złodzieju“, czyni z niej jakby wspólną kartę, która przypadkowo tylko wysunęła się z szeregu przepyszných rapsodów „Legendy wieków.“

### Szeik i złodziej.

—Więc to tyś mi kradł woły?  
— Przepadłem, za katy!  
— Nie masz, widzę, turbanu?  
— Ani marnej szmaty.  
— Weź ten.  
— Cóż to za mody jakies u was nowe: Mając kogoś wbić na pal, przystrajając mu głowę?  
— Twoja odzież w lachmanach.  
— Czcigodny sultanie, To prawda.  
— Włóż ten kaftan.  
— Ja?!  
— Ty. Patrzaj na nie Niewolnice, zbliżcie się! Bierz trzy najpiękniejsze.  
— Ja?  
— Wybiore za ciebie, bierz te trzy.  
— Jaśniejsze Od słońc złotych! Boję się.  
— Twe stado tam hula?  
— Moje!  
— Masz i ten łańcuch, dar dawnego króla.  
— Jaki ciężki! ze złota szczerogo! Nie, nie, nie! Nic już, nic nie rozumiem! Sen-to snadż, marzenie! Moim kaftan twój, moim twój turban wysoki! Klejnotami mnie darzysz! Zamiast bez odwłoki Kazać ściąć mię, powiesić z rozjątrzeniem całym, Ty mi dajesz, mnie, który ukraść ci ją chciałem, Trzodę swą i kobiety trzy cudnej piękności!  
— Czyliż nie byłeś jednym z mego dziada gości?

W innym miejscu znowu, w prześlicznej, parowierszowej, głęboko poetycznej reflexyi, streszcza poeta wiarę swą w konieczny złego upadek. Jest to niby napis na starej ruinie: „Rzeźbiarz, co żył przed jakimś trzema tysiącami lat, zbudował czarnemu Plutonowi, na którego cienie zamknięte w ognistych więzieniach z przerażeniem spoglądają, świątynią; Bóg ją dziś daje na mieszkanie jaskółkom.“<sup>1)</sup>

„Śród ciężkich dróg żywota, śród zwątpień ze wszech stron ogarniających człowieka, śród ciemności, które zniechęconemu i apatycznemu oku wiecznemi i niezwalczonemi wydać się mogą, Ludzkość potrzebuje takich jaśniejszych perspektyw, takich słów, dodających jej odwagi i wytrwałości, takich bojowników i przewodników o niezłomnej wierze w przyszłość bardziej słoneczną. Idealistów takich więcej: a rozjaśnią oni, niby latarnie zbawcze, posępne mroki dziejowe i wśród bezdroży i manowców główne przynajmniej, wytyczne zaznaczą punkta wielkiej przyszłej drogi Ludzkości. Ludzkość za to uzna ich za królów serc wszystkich i ze czcią i miłością chylić się będzie przed wspaniałymi mauzoleami, gdzie w trumnie kryształowej, pod całym firma-

mentem dyamentów, topazów, rubinów, spoczywać będą święte, nieskazitelne, czyste, czcigodne ich prochy, otoczone zamkniętymi w czterech wazach etruskich łzami narodów...<sup>1)</sup>

Tra quei libri di canti, ne'l mio studio, o Vittore,  
La tua canuta effige, piegata ne'l dolore  
La profetica testa su la man destra, sta.<sup>2)</sup>

### IV.

Z posępnych szczytów, o które rozbijają się tylko szlaki chmur, wichrem gnane, schodzi poeta na kwietne doliny; z burz i walk zamętu ucieka w ciche ustronia; oczy jego, pełne jeszcze przed chwilą straszego ognia natchnień prorockich, łagodnieją zwolna, odbijając w krynicznych błękitach swych wieki czar i harmonią umiającej kość wszystko przyrody; znużoną głowę składa na wonnem posłaniu mchów, ziół i liści, i, rozkoszując się czarodziejską grą niepoliczonych zjawisk i kształtów piękna, jaką ta wielka matka wszystkie zmysły i duszę jego pieści, chłonie z upojeniem wielki jej spokój, pogrąża się w ocean ciszy niezmiernej, szukając w nim odpoczynku i wytchnienia, zanim nowe wielkie zapasy o szczęście ludzkości w wir swój go porwą. W tej chwili, wobec imponującej wielkości i powagi natury, wszystkie te gigantyczne boje i wysiłki bledną, maleją jakoś w jego oczach, odsuwają się na plan dalszy; poeta zdolnym się staje poniekąd wyłączenie do cichej kontemplacji harmonijnym wieńcem otaczających go cudów i—do jednej jedynej myśli o nieogarnionej Istocie, która sama tylko na tem przygniatającem niezmiernością swą tle z dostatecznym majestatem zarysować się może, — a jest ładem, porządkiem, harmonią, myślą, ideą, siłą i życiem wszechświata, tego wielkiego jej samej obrazu, odbicia, wcielenia...

Nie myśl, żeś wielki, mały! Patrz dokoła siebie!

Usiądź sobie wieczorem, przy gwiazdzistym niebie,  
Na urwistem wybrzeżu, nad morzem głębokiem;  
Z pienistemi szczyty uważam wódz okiem;  
Patrz, jak rój konstellacyi z fal wychodzi złoty;  
Badaj drżenia alg morskich, mew białych poloty;  
Wysłuchuj się w szmery głuche, któremi zmrok  
[dyszy;  
Liczbę lat swych przeżytych wspomnij sobie  
[w ciszy;  
Pozwól duszy, zgębnionej ich ucieczką żwawą,  
W młodych szalów wspomnieniach zatopić się  
[łzawo;  
Płacz, gdy głąb' cicho szumi na skał brzeżnych  
[strazy:

A potem—myśl o Bogu, co patrzy i marzy,  
Zawsze dobry, łaskawy, opiekuńczy, baczny,  
O tym Bogu, którego żrenicy opatrzej  
Nie ujdzie równie dobrze lot komet ognisty,  
Jak ptak marny w przestrzeni lazurowo-czystej.<sup>3)</sup>

Ale to już dalsza reflexya, jedna z tych, które poczynają budzić się w duszy poety dopiero po dłuższem obcowaniu z naturą; gdy dusza po wypoczynku pewnym nabiera nowej sprężystości i nowej energii do walki ze snixem wiecznym nierozwiązalnych, a zawsze z równą siłą wabiących i zaciekawiających, umysł ludzki zagadek.

W pierwszej chwili po przerzuceniu się z wiru i zamętu gorączkowego życia Ludzkości w objęcia wielkiej ciszy natury, poeta, jak wspomnieliśmy już, umie tylko patrzeć, upajać się i malować z przedziwną niewymuszonością, która w tym razie jest szczytem artysty, wszystkie te cuda i czary, jakie zewsząd i co krok nasuwają się jego oczom. Oto precudny obrazek niewymownej świeżości i prostoty, w którym leciuchny *stafaż* realistyczny, w wybornym, rzucanym od rę-

1) Ks. I, 15, „Proch króla“, tom I, str. 65.

2) „Tak po przez pieśni tych ksiąg, śród studyów mych, o, Wiktorze, spogląda ku mnie twa postać starca bólem zgiętego, ze wsparcią na rękach prorocką głową.“—*Carducci—A V. Hugo.*

3) Ks. II, 23, tom I, str. 137.

1) Ks. I, 11, „Przelot duchów ciemności“, tom Iszy, str. 35.

1) Ks. I, 14, „Napis“ tom I, str. 63.

ki, krajobrazem łączy się całość, tworząc klejnot prawdziwy poezji liryczno-opisowej, który daje nam odczuć całą rozkosz kontemplacyjnego sybarytyzmu, w jakim tonął duch poety.

Cóż tu znaleźć lepszego dla ciała i ducha,  
Jak ledz marzyć pod drzewem, kędy grzywacz

[grucha?

Wozy ciągną gościńcem, słyszę ich skrzywienie,  
Dziewczęta, idąc prac swą bieliznę do rzeki,  
Przysłuchują się dźwiękom mej piosnki dalekiej;  
Ale mnie milsze lasu tajemnicze cienie,  
Gąszcz krzewów mi tu daje kwiaty niezliczone—  
I dość mi, kiedy widzę, jak przez ich zasłonę.  
Pieśń moja mknie ku sercom, ptak — w słońca

[promienie. 1)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Czego nie wiedział Dobrynia.

Rozmowa z Bolechem na polowaniu otworzyła, królowi oczy: znikanie żołnierzy i zabójstwa przypisywane wypadkowi i swawoli, nie były rzeczą ani wypadku ani swawoli—kierowała tem ręką Izasława z Książęcego Dworu. Widocznym było, że inaczej działał w oczy, inaczej po za oczy; inaczej mówił, a inaczej robił. Odgadnął wprawdzie zamiary króla i cel, w jakim siedział na Rusi, ale paraliżować ich otwarcie nie miał odwagi: działał więc pokryjому. Stronictwo królewskie między ludem i Kijowianami rosło w miarę srogości Izasława, grupowało się w cichości i dawało nieraz bardzo wyraźnie do zrozumienia królowi, że należy niemilego im kniazia usunąć, a zamiast jego woleliby Bolesława na tronie wielko-książęcym.

Były to plany dalej sięgające, niż on sam myślał z początku; dla wykonania ich nie posiadał dostatecznej liczby żołnierza; z garstką jaką miał pod bokiem, żadnego zaczepnego działania rozpocząć nie mógł, — czekał na posiłki. W takiej chwili oczekiwania dowiedział się, że Izasław plan jego odgadł i potajemnie paraliżował go. Wsuwało się więc naprzód niebezpieczeństwo, którego pierwiej w rachubę nie brał. Trudno się było skupiać w cichości, obostrzyć rygor wojskowy i zapobiedz znikaniu żołnierzy. Ostrożne zachowanie się nie uszło baczności ani Izasława, ani Kijowianów. Zapanował chłodny stosunek. Książę coraz rzadziej jeździł na łowy z królem polskim, coraz rzadziej zapraszał go do siebie na uczyty. Izasław dla Kijowianów podejrzanych o zdradę nie miał miłosierdzia; już nietylko porub był pełny, ale podziemne lochy Książęcego Dworu napełniały się bardziej wybitnymi więźniami.

Zbliżała się pora do przedsięwzięcia jakiegoś stanowczego kroku, tembardziej, że i książę nie zasypiał sprawy; można się więc było spodziewać, że lada dzień może dojść do krwawych rozpraw między Lachami a drużyną kniazia. Kijowianie w cichości przygotowali się także do oporu. Na wiec nie zwolowali nikogo, aby nie bu-

dzić czujności książęcych otroków, ale pojedynczo naradzali się ze sobą. Chcieli wypędzić znowu niemilego sobie kniazia, ale obawiali się rozpocząć walkę na własną rękę, zamało posiadali ludzi i broni, a i z tego, co posiadali, Izasław ogałacał gród codziennie. Wprawdzie liczyli na pomoc Bolesława, przypominając sobie jego mowę; tego byłoby jednak zamało: potrzebowali przyrzeczenia i pewności.

Zdecydowali się wysłać do króla Warażkę.

Warażko rankiem na Krasny Dwór przyjechał, ale na Krasnym Dworze już ruch pa-  
uował.

Dobromira odmawiała ranne pacierze, stojąc w oknie, zwrócona ku cerkwi pecherskiej i żegnała się, kiedy dostrzegła jeźdźca, wjeżdżającego na dziedziniec Krasnego Dworu; z ubioru poznała swego—był to Warażko.

Siedząc na koniu kłaniał się kołpakiem znajomym rycerzom; zatrzymawszy się pośrodku dziedzińca, zsiadł z konia i z Bolechem rozmawiał. Dobromira nic o tem Ludzie nie wspomniała na razie, ale przyjazd tak wczesny, i to bez towarzysztwa, co jej niedobrego podszeptywało.

Wkrótce zawołano Warażkę do króla.

— A cóż to tak wczesnie, panie posadniku?

Warażko ukłonił się.

— W poselstwie do ciebie, miłościwy królu.

Król spokojnie spojrzął przybyłemu w oczy.

— W jakim?

— Kijowianie szła mnie, królu, do ciebie. Kiedy do nas na wiec przyjechałeś, obiecałeś lud bronić i kochać: teraz czas, abys mu miłości dowiódł i bronić go zechciał. Nie możemy już dłużej ścierpieć rządów Izasława. Napadł go jakiś obłąd, rzuca się na ludzi, jak okazany, poruby i ciemnice ponapełniał ludem; ale tego wszystkiego niedosyć... codzień świeże trupy kołyszają się w Debrach. Czas nam teraz bronić siebie.

Bolesław doznał głębokiej radości, ale jej nie pokazał: poselstwo trafiło w jego plany.

— Bardzo mnie to raduje — odrzekł — żeście sobie przychylność moję przypomnieli i do obrony mnie zapraszacie. Ale dajcie mi czas pomyśleć, rozważyć...

Król nie mógł wypowiedać otwarcie tego, co myślał; musiał maskować myśli obiecywaniem, potrzebą rozważenia.

— Nic do rozważania nie masz — odparł krótko Warażko. — Rozpocznij tylko: teraz pora najlepsza. Wojsko masz zgromadzone; pójdź jutro na Kijów, otocz i podpal Książęcy Dwór, usmaż w tym ogniu Izasława i jego rzeźników, a gdyby ci drużyna jego opór stawić miała, uderzymy na nią z tyłu i w pień wytniemy! Teraz póki wszyscy narzekają na niego, póki jeszcze świeże rany bolą, pokonasz go łatwo, a na opróżnionej stolicy sam siedziesz, jeśli zechcesz, lub kogo wola twoja będzie — posadzisz.

Bolesław uważnie słuchał Warażki i myśli jego ze swojemi planami kombinował.

— Bądźcie cierpliwi, posadniku — reflektował Warażkę — do wielkich rzeczy trzeba przystępować z wielką rozważą. Nie chodzi o mnie, ale o was... Jeśli macie bić wroga dziś, to go tak bijcie, aby on was jutro nie bił. Teraz nie mogę dać wam odpowiedzi stanowczej: poczekajcie trochę... dam znać wkrótce.

— Obyś tylko, miłościwy królu, dobrą wieść nam przysłał. Tak nas książę i jego drużyna nęka, że już chyba tylko twoja dłoń mocna z tego jarzma wybawi nas zdoła.

Rozmawiali jeszcze czas niedługi o ogólnem położeniu Rusi, o postępowaniu Izasława; Warażko już miał się do wyjścia, kiedy raz jeszcze zagadnął króla.

— Miłościwy panie, dam ci jedną przestrożę... nie gniewaj się na starego Warażkę...

— Jaką? Mów śmiało; kto mi zyczałiw, ten wszystko, co myśli, mówi przede mną.

Warażko pokłonił się kołpakiem.

— Nie jedź więcej na uczyty do kniazia... U nas pogadują cicho, że on dla ciebie krwawą uczyty gotuje. Jeśli chce kłamać ci w oczy, niechaj na Krasny Dwór jeździ, ale ty do niego nie jedź. Otoczyli ciebie, jak siecią, złymi ludźmi; najzyczliwszych zbałamucili i zemstę w nich rozdmuchali, a między Krasnym a Książęcym Dworem

za często jeżdżą posłańcy kniaziewscy. Nad Kłowem, u czarodzieja Dobryni przesiadują Mściślaw i Czudyn: oni nie jeżdżą tam miód spijać...

Król w czasie mowy Warażki głową potakiwał.

— Dziękuję, dziękuję, posadniku. Domyślałem się złego, ale jestem spokojny, bo od Berestowa niema przystępu ani do mnie, ani do obozu mego.

— Kto co złego chce robić ten i drogę zawsze znajdzie — odrzekł Warażko.

Długi pobyt Warażki u króla nie uszedł uwagi Dobromiry. Coś się jej snuło po głowie, czegoś się domyślała, ale o tem wszystkim, co się dzieje, miała takie mętne pojęcie, że nic jaśniejszego wysnuć sobie nie mogła. Dla starej mamki Kościaczkówny nic oprócz Ludy nie istniało na świecie; ona była już ostatnią istotą, dla której stara żyła i którą kochała. Coś złego tylko czuła instynktem.

Popołudniu Luda, siedząc przy okienku, wyszywała nakapkami i na daleką okolicę Podnieprza patrzyła.

Weszła Dobromira. Luda ledwie na nią okiem rzuciła, dostrzegła jakieś głębokie wzruszenie.

— Cóż tam, matko? Są jakie wieści?

— Warażko był u króla...

Luda położyła robotę na kolanach.

— Warażko? A toż czego? Widziałas się z nim?

— Nie widziałam się.. Widziałam go tylko na dziedzińcu. Coś radzili; Bóg ich tam wie... za często jakoś radzą.

Westchnęła i na Ludę spojrzała.

— Mają o czem radzić pewnie — odrzekła Luda.

Dobromira westchnęła znowu.

— Bodajby mi nie przyszło mojego dziecka opuścić...

Luda szeroko roztwartemi oczyma spojrzała w twarz mamki.

— Dlaczego? Albo nam tu źle?

— Nie mówię, że źle—król ciebie kocha, dobry jest...

— Czegoż mnie więcej trzeba? Nic więcej nie chcę; niech mnie kocha tylko, a będę mu służebnicą przez całe życie.

Dobromira skinęła głową w taki sposób jakby mówiła: tego nie dosyć!

Rozpoczętą jednak rozmowę przerwała. Miała coś innego na myśli i nad tem właśnie, jak powiedzieć Ludzie, zastanawiała się.

Po chwilce, z pewną udaną obojętnością, odezwała się.

— Przysyłała do mnie Bracyszlawowa, abym przysłała, ale nie mówiła czego chce...

Na dźwięk tego imienia Luda głowę podniosła.

— Bracyszlawowa? — spytała machinalnie. — I Bogna zapomniała o nas... — dokończyła z pewnym żalem. — Kiedyż pójdziecie, matko?

— Muszę dziś jeszcze pójść: nakazywała pospiech...

— No, to idźcie — przynagliła Luda — może tam doprawdy co ważnego.

Dobromira poszła. Minął dzień i drugi, a Luda doczekać się jej nie mogła.

— Oto! nie nagada się ze swoimi! — pomyślała sobie.

Ani Luda, ani Dobromira nie przypuszczały, nie domyślały się nawet, powodu, dla którego Bracyszlawowa umyślnego z Kijowa przysłała: Izasław w celu doprowadzenia do skutku swego planu postanowił użyć Bracyszlawowej. Wiedział o pokrewieństwie i przyjaźni, Bracyszlawowa wydała mu się najodpowiedniejszą do przedstawienia Dobromirze potrzeby powrotu Ludy do domu i jej wyjścia za mąż za Wyszatycza. Bracyszlawowa w najlepszej myśli przez dwa dni kładła do uszu mamki potrzebę zastosowania się do woli Izasława; Dobromira słuchała, rozważała, obiecywała mówić o tem z Ludą i całe położenie przedstawić, ale, wyszedłszy z Kijowa, zapomniała o tych wszystkich obietnicach. Zdawało się, że wiatr jesienny inne myśli jej nawiał.

— Niech sobie żyje z tym kogo kocha... — myślała. — Nie stanie się ona przez to gorszą, nie

popelni nie zlego, a co Bóg jej przeznaczył, niech to się stanie. Po co oni ją pchają w ramiona Wyszatyca?

Postawiwszy sobie to pytanie, myślała nad niem.

— On kocha—mówią—ale ona—nie. Czyż to nie wszystko jedno, co czyjeś bijące serce do chłodnego muru przycisnąć? Gdybyż ona nie kochała króla: to inna rzecz, ale go kocha: jakże ją oderwać od kochanego? Straszają, że Lachy precz pójdą, a król ją porzuci, jak nieswoję... Niech rzuci! Przez to ona nie stanie się gorszą, serce jej będzie takiemsamem—dobrem, jak teraz... Mówią, że król ma żonę, dzieci, że wróci do nich: niech wraca... wtedy uspokoi się może i Luda: więc będzie czas o Wyszatyca pomyśleć... Teraz w tych namowach i żalach fałsz jakiś dźwięczył...

Po powrocie Dobromira nie powiedziała po co ją Bracyszlawowa wołała do siebie.

— Bała się, żeby domu nie okradli... — odrzekła na zapytanie.

Luda obojętnie ręką skinęła.

— Niech kradną!

Potem do mamki zwróciła się.

— Cóż tam w Kijowie gadają?

— Ot... gadają między sobą, że Lachy wyruszą — wtrąciła nieśmiało mamka.

Zdziwienie i przestach malowały się na twarzy Ludy.

— Wyruszą? Dokąd?

— Albo ja wiem... mówią...

Ręce Ludy jeszcze niżej na kolana opadły. Dobromira utkwiała w nią nieruchome oczy.

— A on? — spytała.

— I on pewnie pójdzie... Lachy bez niego nie ruszą się...

Obie kobiety długą chwilę w milczeniu patrzyły na siebie pytająco. Dobromirze przykro było, że rozmowę o tem wszczęła, i swoje ukochane dziecko zasmuciła. Tak jej na sercu ciążyła jakaś niepewność, jakaś wątpliwość, że rozmowa na powyższy temat nawiązała się mimowolnie.

Przed Ludą stanęło poraz pierwsze pytanie: co wtedy robić? Daremnie w myśli swej szukała nań odpowiedzi; znaleźć nie mogła. Dotychczas nigdy nie myślała, że tego, kogo jej serce tak szczerze, tak głęboko pokochało, stracić będzie mogła nazawsze.

Dobromirze zaś zrobiło się Ludy; przystąpiła do niej i w czoło ją pocałowała.

— Uspokój się moje dziecko, mędrszy Pan Bóg, niż nasze głowy; jutro Niedziela, pójdę do Pieczar i pomodłę się na twoją intencją.

— Dobrze, matko... i do ojca Jeremiego zajdziesz, poprosisz niech się modli za mnie.

W tej chwili na dziedzińcu Krasnego Dworu gwar się zrobił, słychać było szcęk broni, tentent kopyt końskich.

Luda wyjrzała przez okienko.

— Król przyjechał! — rzekła radośnie.

Dobromira opuściła górnicę Ludy, która stała przed oknem, zapatrzona w króla, na dziedzińcu jakieś rozkazy głośnie wydającego.

— O, jakież on piękny! — szepnęła sama do siebie — jakże ja go bardzo, bardzo kocham!

Bolesław tylko-co był powrócił z objazdu obozu rozłożonego na wzgórzach za Krasnym Dworem; jeszcze pacholki nie odprowadzili koni do stajni, kiedy od bramy dano znać, że jakiś starzec pragnie widzieć się z królem. Kazał go wpuścić, a sam, stanąwszy na dziedzińcu, patrzył w kierunku bramy. Był to Dobrynia; król poznał go zdaleka; pamiętał dobrze o tem, co nie dawno mówił Warażko, ale, panując nad sobą, uśmiechnął się tylko do podchodzącego Dobryni.

— W porę przyszedłeś — rzekł z wesołym zacięciem — mam dosyć czasu do słuchania ciebie.

Czarodziej szedł powoli, schylony, a zbliżywszy się do Bolesława, za kolana go ujął.

— Śpieszno mi było do ciebie, miłościwy królu.

— Łaskaw jesteś... — odrzekł król, skinął na pacholka i kazał koneweczkę miodu przynieść.

Weszli obaj pod nakrycie runduku. Bolesław szedł przodem, a nim Dobrynia, a potem tłum liczny towarzyszący broni króla, pacholków i służby.

Obecni z ciekawością przypatrywali się Dobryni, słuchając każdego słowa, które z ust jego wychodziło. Wiedziano o tem, że Dobrynia jest czarodziejem, a nasłuchali się niemało cudownych rzeczy o czarodziejach na Rusi; nic tedy dziwnego, że wszyscy byli bardzo zacieka-wieni.

Dobrynia wodził oczami po zgromadzonych.

— Co tu bogactwa — mówił kiwając głową — co tu sławy! a przecie wiem królu, że ty nie jesteś szczęśliwy...

Bolesław uśmiechnął się; wiedział, co o tem wszystkim ma myśleć i jaką rolę stary na siebie przyjął.

— Przypatrz-no mi się, stary... może co lepszego powiesz.

Dobrynia patrzył się pilnie w twarz króla. Nagle odwrócił się i znowu powiódł oczami po wszystkich.

— No, a czy to wszystkim potrzeba wiedzieć, co ci powiem? — rzekł — Odpraw służbę i drużynę: nie przystoi im słuchać tego.

Jakoż część służby oddaliła się wistocie; pozostał tylko Bolesław i kilku z najbliższych.

Dobrynia udawał zamyślonego, potem podniósł oczy i znowu zatrzymał na twarzy króla, wpatrując się w nią długo.

— Ot... miłościwy królu, niewielebym ci dobrego mógł powiedzieć; wolę milczeć...

Bolesław brwi nachmurzył.

— Mów — rzekł stanowczym głosem — przyszedłeś po to, abys mi prawdę powiadał...

Stanowczość ta nie podobała się Dobryni, ale uderzył w pokorę.

— Kiedy każesz — muszę, taka twoja wola...

Luda, spotrzegłszy, że król poszedł na runduk, zeszła, aby się z nim zobaczyć. Na runduku dojrzała Dobrynię i zatrzymała się; stanęła przed oknem w grydnicy królewskiej, wychodzącą na runduk i przysłuchiwała się rozmowie.

— Z własnej woli — ciągnął Dobrynia — oddałeś swoje szczęście w ręce nieczyste... o... o... te ręce nie pożałują ciebie, bo kto wie... może nie tylko szczęście twoje w tych rękach: może i życie...

Bolesław słuchał z widocznym niezadowoleniem.

— Mów jaśniej... ze mną żartów niema! Albo gadaj prawdę i pokaż tego, który, jak mówisz, dzierży szczęście moje i życie, albo będę myślał, że żesz!

Dobrynia nie spodziewał się takiego obrotu; jakoś i miód mu smakować przestał. Spojrzał w okno grydnicy i za oknem dojrzał stojącą Ludę; musiał się ratować. Rękę wyciągnął, która mu drżała z przestachu i wskazał nią Ludę.

— Królu! Ona trzyma twoje szczęście... to czarownica!

Wszystkich spojrzenia zwróciły się ku niej. Luda, posłyszawszy te wyrazy, zbladła, jak płótno, oczy jej zaiskrzyły się gniewem, ale nie rzekła ani słówka na swoją obronę. Dobrynia ciągnął dalej:

— Dziwo, że głód na Rusi? Ona urodzaj trzyma przy sobie... Każ jej tylko skórę rozciąć pod sercem: znajdziesz tam ziarna pszenicy i żyta...

Zapanowało głuche milczenie. Bolesław siedział na runduku, pochyliwszy głowę ku ziemi, a Dobrynia wciąż mówił:

— To nierządnicą, królu... oplątała czarami ciebie, czy tylko ciebie?

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— Do pożądaných wiadomości w zakresie wpływów pedagogicznych w mieście naszym należy ogłoszenie, że już skończyły się zabawy dla dzieci w Ogrodzie Zoologicznym. Dla dobra naszej przyszłości, która zawsze i wszędzie łączy się węzłem najściślejszym z wychowaniem, zawo-

łać trzeba: — Daj Boże, aby już nie rozpoczęły się z wiosną przysła, aby nie było ich u nas nigdy! W wychowaniu nie może być obojętnem nic, co dziecka dotyka, a zabawa, dobra lub zła, nietylko na dzieci oddziaływa w stopniu wysokim. Otóż zabawy dla dzieci, publiczne i stale urządzone, są rzeczą wielce szkodliwą z przyczyny rozbawiania ich, wprowadzania w umysł młody myśli o zabawie, przyzwyczajania do niej. Kto, będący choć trochę istotą myślącą — kto, mający choć trochę umysł poważny, może odpowiedzieć z ręką na sercu, że to nic nie znaczy — że to nic szkodliwego? A cóż dopiero te loterye, które zaprawiają dzieci do lichego hazardu: wygranej.. przegranej! Szanowny „Sęp“ z *Biesiadły Literackiej*, miał też pełne prawo napisać w imię dobra publicznego. „Wzywamy summarycznie sz. Zarząd Ogrodu Zoologicznego, aby nie lechał próżności i łakomstwa dzieci..“ (Biesiada N. 38). Porównywając stan zdrowia i wygląd dziecka, które przepędziło lato na wsi a dziecka bawiącego się w Ogrodzie Zoologicznym „Sęp“ zwraca uwagę na to, że oddychało ono w tem miejscu, gdzie było prowadzonym, jakoby dla świeżego powietrza „powi e trzem, które przeszło płuć zwierząt cuchnących, pocących się, (w zamknięciu), karmionych padliną.“ Wśród naturalnej dla dziecka, swobodnej zabawy, na otwartej przestrzeni: „rozwijala się siła, energia, jędrniało ciało, mózg przytomniał, serce rosło, a w dziecku z Ogrodu Zoologicznego panoszyła się tylko imaginacja, niecierpliwość i zawiść, ciało zaś wycieńczało się nadużyciem tańca i zaduchem.“

A jeszcze-by pomyśleć należało, w jakim-to kierunku wyobraźnia dziecinna panoszyć się tam mogła? Gdyby nie przesławne „zabawy“ dziecko zwiedzające Ogród Zoologiczny, mogłoby być uderzone widokiem tych nieznaných mu zwierząt dzikich; mogłoby uczuć ciekawość poznania ich życia w stanie natury, puszczy lesistych, krain dalekich, które są ich ojczyzną, — a chęć ta, uskrzydlaając wyobraźnię młodą, rozszerzając jej polot, rozbudzałoby i cność nauki, dającej zaspokojenie ciekawości, złączonej z pragnieniem wiedzy o świecie. — „Zabawy“ stają temu najmocniej na przeszkodzie, bo chwytają one dziecko, zabierając na korzyść własną wszystkie jego myśli i stając się tych myśli zajęciem wyłącznym.

Więc, daj Boże! aby nie zostały wskrzeszone z wiosną i daj Boże, aby w zimie nie zastąpiła ich ta druga serya „zabaw dla dzieci“ które darzy dobroczynnie młode pokolenie nasze Zarząd Towarzystwa Wioślarskiego.

— Ulepszenia co do warunków sanitarnych w *Osadach Rolnych* dla małoletnich przestępców podobno wchodzą częściowo w wykonanie według wskazówek udzielonych tego roku w lecie przez d-rów: Fritschego, Łuczkiwicza i Markiewiczza.

— Dwudziestolecie Towarzystwa Pedagogicznego w Galicyi przypadło w bieżącym roku, a głos powszechny przyznaje mu wielkie zasługi na polu wychowania i szkolnictwa tej prowincyi. Do tych zasług zaliczają dobre wydawnictwa pedagogiczne, zakładanie wyższych szkół dla kobiet, przyczynianie się do wznoszenia szkół przemysłowych, oraz zjazdy nauczycielskie, podnoszące umysłowy poziom ich uczestników. Zjazdy te odbywają się co rok w innym mieście; w bieżącym roku zebranie nastąpiło w Rzeszowie, a sprawozdanie, złożone Towarzystwu przez zarząd, wykazało stan jego pomyślny i dobre wywiązywanie się z zadania, które przewodniczył myśli założycieli. Prezesem jest od 1873 r., Zygmunt Sawczyński, wice - prezesem Dr. Teofil Gerstman, bardzo czynny i zasłużony członek zarządu Towarzystwa, pełniący w nim urząd obecnie piastowany od 1871 r.

Członków liczy Towarzystwo blisko 2.000, w której to liczbie znaczny procent stanowią kobiety, nauczycielki. W kilku oddziałach Towarzystwa wchodzą one do ich zarządu, obok czego pełnią obowiązki skarbników. Oddziałów Towarzystwa jest 46, kolek pedagogicznych 80. Towarzystwo, troskliwe o rozwój szkół przemysłowych, utrzymuje ich obecnie kosztem swoim 8, a wyższych szkół dla kobiet 2, gdyż inne;

poprzednio przez Towarzystwo wzniesione, przeszły pod zarząd krajowy. Czasopismo *Szkola* jest organem Towarzystwa, którego redaktorem po śmierci Romualda Starkla, został Mieczysław Baranowski.

W ciągu ubiegłego roku Towarzystwo wydało kosztem swoim dzieł 11, a cztery teraz właśnie są w druku. Ogólna liczba książek wydanych przez Towarzystwo wynosi 211; na czele tego działu czynności Towarzystwa stoi Dr. Karol Benoni. Pod względem pieniężnym wydawnictwa te opłacają się bardzo dobrze i nawet przynoszą pewien zysk, bo odpowiadają umysłowym potrzebom czytelników swoich i są możliwie tanie, przy bardzo starannem wydaniu.

Obecnie Towarzystwo stara się usilnie o wzniesienie burs dla synów nauczycielskich, to jest zakładów, gdzie ucząca się w szkołach średnich młodzież, otrzymuje całkowite utrzymanie. Instytucja to odwieczna, w Krakowie początek swój biorąca. Obecnie Towarzystwo utrzymuje kosztem własnym dziesięciu synów nauczycielskich w bursach. Urządzenie we Lwowie kolonii wakacyjnych dla chłopców i dziewcząt wyszło z inicjatywy Towarzystwa, które drugostronnie wykazuje pozytywną działalność w łonie swoim, przez staranie o rozwój bibliotek i konferencji oraz odczytów w sprawie wychowania. Na zjeździe Towarzystwa w Rzeszowie miał odczyt Mieczysław Baranowski: „O urządzeniu Muzeum Pedagogicznego i wystawy higieny szkolnej we Lwowie“, oraz Stanisław Rosół „Rzecz o szkolnictwie przemysłowym.“ Towarzystwo postanowiło odbyć w roku przyszłym zjazd swój w Złoczowie, które-to miasto wystosowało w tym celu list zapraszający do Towarzystwa.

— *Slójd, czyli szkoła zręczności*, została otworzoną w Krakowie w lokalu *Collegium Juridicum* z przeznaczeniem przeważnie dla nauczycieli szkół ludowych, ale przyjmują każdego, kto by tu pragnął rozwinąć obok siły fizycznej, otrzymującej się przez gymnastykę rąk, piersi i płuców wprawę oka, oraz zręczność palców. Już w Sokalu był otworzony kurs Slójdu dla nauczycieli ludowych, ale prócz uczniów właściwych garnęli się tu do nauki własnowolnie wieśniacy okoliczni, w chęci nauczenia się wyrobu sprzętów domowych i naczyń gospodarskich, do czego były im udzielane wskazówki. Nauka odbywa się tu postępowo, zaczynając od gładkiego wystrugania drewnianka, mogącego służyć jako osadka do pióra i następnie przenosi się kolejne wykonywanie modeli, w liczbie stu, coraz to wytworniejszej, kunsztowniejszej formy. Najpierw jedynym narzędziem ucznia jest nożyk i dopiero, gdy ręka nauczy się nim władać dobrze, gdy oko wprawi się tak, że umie kierować ruchem ręki i miarkować go według planu w myśli noszonego lub wzoru przedstawionego przez rysunek, uczeń zaczyna pracować z pomocą innych narzędzi.

— Przeciążanie we Francji uczniów szkół średnich pracą umysłową, zwróciło uwagę ludzi poświęconych sprawie wychowania. Pod prezydencją Juliusza Simon, który piastował niedługo godność ministra oświecenia, zawiązała się komisja szkolna z celem ropowszechnienia między uczącą się młodzieżą ćwiczeń fizycznych. Wskutek tego urządzono w okolicach Paryża trzy otwarte przestrzenie—place dla gier i szermierki uczniów, zwane *parkami szkolnymi*. Dyrektor jednego z gimnazjów paryzkich, Godar, przekonawszy się, że jedenaście do trzynastu godzin dziennie pracy nad książką źle działa na młodzież, która rośnie i rozwija się dopiero, której organizm zatem pracuje drugostronnie nad ukonstytuowaniem się fizycznym, zmniejszył godzinę lekcji wykładowych i wynajął w paryżkim Ogrodzie Aklimatyzacyjnym obszerny plac, przeznaczony na ćwiczenia fizyczne młodzieży. Wynajął on przytem na jeziorze Lasku Bulońskiego kilka łodzi, także na użytek uczniów. Obecnie jednak zwrócono uwagę wychowawców, aby owe ćwiczenia fizyczne, mające rozwijać siłę i wyrabiać muskuły młodzieży, nie były zbyt ciężkimi męczącymi i nie następowały zaraz po znużeniu umysłu, a jednocze-

śnie i ciała kilkogodzinnem słuchaniem wykładu nauki, pisaniem, lub czytaniem. Potrzeba dać uczniom odpowiednio umiersoną chwilę odpoczynku—nie robienia nic zgoła, co by było nakazem.

— Na międzynarodowym konkursie w Zurychu, traktującym sprawę kolonii wakacyjnych i higieny szkolnej, jedno z trzech posiedzeń poświęcone zostało w znacznej części ważnej kwestyi przytułki dla dzieci szkolnych (*Kinderhorte*) gdy te, wychodząc ze szkółek lub ochron, albo nie mają wcale gdzie się podziąć, jeżeli rodzice ich pracują poza domem, który w czasie ich nieobecności jest zamkniętym, albo znajdują tylko miejsce puste tam, w którym niema nikogo, kto by chciał roztoczyć nad nimi nadzór opiekuńczy. Radca Jung, mieszkający w Monachium, ulitował się doli tego biedactwa, wyrzucanego przez szkołę na ulicę i nie znajdującego żadnych opiekuńczych ramion, któreby je przyciągnęły do siebie. Za staraniem jego znajdują się obecnie we wspomnianem wyżej mieście cztery takie uchrony dla chłopców, jedna dla dziewcząt. Są to obszerne izby, w zimie ogrzane, w lecie otwarte na ogród, do nich dzieci same śpieszą wprost ze szkoły, z której wychodzą o godzinie 4 ej popołudniu, i dostają na wstępie kawałek chleba, jako podwieczorek. W izbie, która czeka ich gościnnie, znajdują ławki i stoły, a na nich mogą odrabiać ćwiczenia znajdują, tablice dla zadań arytmetycznych, do czego przecież nikt ich nie nagli i gdzie dozorca, lub dozorczyńni wywiera nad nimi karność, nie szkoła, ale domu rodzinnego, zajmując je tak, jak czyniłaby to matka, gdyby tu być mogła. Za przykładem Monachium otworzono już podobne „*Kinderhorte*“ w kilku miastach niemieckich: w Bremie, w Erlangen, w Baumenheim, a dobroczynność publiczna przyczynia się do dobrobytu tam dzieci i możliwej ich edukacji uczucia, zmysłu porządku i piękna. W Monachium Towarzystwo Ogrodnicze obdarzyło przytułki roślinami, które dzieci pielęgnują osobiście, a niekiedy zabierają do siebie, do domu i odnoszą dopiero za zbliżeniem się pory zimowej, strzymując nagrody jeżeli pielęgnowanie było staranne i rośliny utrzymały się dobrze. — Można powiedzieć, że takie uchrony dla dzieci biednych należą do uczynków szlachetnej dobroczynności, dla której wzruszyć się powinna kobieta.

## SERCE KOBIECE.

Przekład z francuzkiego.

Maryi Kostrowickiej.

Trzy lata upłynęły od ich ślubu; kochali się z ubóstwieniem wzajemnem—ona młodzieńca, on również młody, dwie świeże twarze, dwie szlachetne dusze. Dlaczegoż przybyli do tej małej miejsciny o sto mil od Paryża odległej, której zwiedzenia przecież nie zaleca żaden przewodnik drukowany? do tej starej opuszczonej miejsciny, gdzie na powybijanym bruku uliczek porasta trawa, a stary, żółty omnibus podskakując na wybojach, brzęczy szybami i żelaztłem, powracając prawie zawsze pusty z dworca kolei...

Pomysł tej podróży zrodził się w głowie Cecylii; Roger z początku nie chciał się zgodzić, ale ona tuląc się do niego pieszczotliwie, mówiła:

— Urodziłeś się tam, w tem miasteczku na podgórzu—nieprawdaż, tam przeżyłeś dziecięce lata i wiek młodzieńczy przy boku starych rodziców, oplakiwanych przez nas ubiegłego roku? Ja też chcę zobaczyć ten poczciwy stary dom, o którym tyle mi mówiłeś, i niewielki ogródek, co to zdawał ci się ogromnym, gdy sam byłeś malutkim. Pokażesz mi tę studnię, wiesz... do której ciskałeś kamienie, aby usłyszeć plusk wody, i to drzewo, pod którym znalazłeś gniazdo turka-

wek, i drogę prowadzącą do szkółki, gdzie przystawaleś—łakomcze! — zjadać słodkie, dojrzałe morwy. Jakże ja się śmiać będę szalenie, myśląc, iż przechodziłeś tamtędy niewiekszy od szczupaczka, w białych majteczkach i trzewieczkach, z koszyczkiem, zawierającym, włożony przez matusię na śniadanie chleb z konfiturami! Nie, Rogerze, nie będę się śmiać; nie sądź, iż jestem lekkomyślnie pustą! Lecz chcę tam jechać, bo cię kocham—tak bardzo cię kocham, że jestem zazdrosną o przeszłość, która była wyłącznie tylko twoją. Może ci się, naprzykład, zdarzyć, że będziesz myślał o czemś, czego ja nie znam, a nie myślał wcale o mnie! Oto, co mnie smuci. Zawieź mnie, gdzie niegdys żyłeś, zjednocz mnie z otoczeniem, wśród którego przebywałeś, abys już odtąd nie miał ani jednego marzenia, w którym nie rysowałaby się moja postać, abym nie była nieobecna w twoich, chociażby najodleglejszych wspomnieniach!

Purpurowe usteczka Cecylii szeptały te słowa tuż przy ustach męża i Roger zgodził się na tę wycieczkę, tylko twarz jego powlokła się jakgdyby lekkim odcieniem smutku... lecz może to było jedynie rozmarzenie po pocałunku Cecylii.

Pierwsze dni w miasteczku upłynęły im rozkosznie. Cecylią wsystko bawiło: brzydkie, cienne, ciasne uliczki, pusty rynek, spłowiałe kapelusze w oknach wystaw sklepowych i zachwyty rzadkich przechodniów, wywoływany jej szykowną postacią wytwornej Paryżanki. Cecylia utrzymywała nawet, iż wybornie jej spać na hotelowym łóżku—ach! klameczynie, tak mało spała!

Pewnego wieczora podczas odpustu, zatrzymawszy się na placu przed ratuszem, gdzie urządzono strzelnicę, trzy karuzele, dwa dyabelskie młyny, weszła do namiotu kabalarki i kazała sobie wróżyć.

— Nie masz pani żadnego nieprzyjaciela pragnącego ci szkodzić. Czeka cię w życiu najwyższe szczęście—wygłosiła wróżka.

— Alboż ja o tem nie wiem! — zawołała Cecylia, rzucając się mężowi na szyję ku wielkiemu zdumieniu baby.

Cecylia miała też i chwile słodkiego rozrzwienia. Zwiadając z pobożnem wzruszeniem stary dom, gdzie umarła matka Rogera, szepnęła smętnie:

— Jaka szkoda, że nie jesteśmy dość bogaci, aby go odkupić.

Wymogła na mężu, aby jej opowiedział z najdrobniejszych szczegółami życie, jakie tam spędzono: o której godzinie wstawano, o jakiej porze spać się kładziono, jakie każdy członek rodziny zajmował miejsce przy jadalnym stole. Musiał mówić o tych długich zimowych wieczorach, gdy on czytał głośno, a staruszka, słuchając, zasypiała, wreszcie w obszernym fotelu,—wybity on był welnianym adamaszkiem—trzymając stopy oparte na miękkim podnóżku. Najwięcej przecież zajmował Cecylią ogród. Odnalazła zaraz studnię, i teraz ona rzucała w nią kamyczki, aby usłyszeć plusk wody. Tylko w krzaku leszczyny nie było już gniazdzka turkawek,—jaka szkoda! Potem jeszcze, idąc wzdłuż płotu, drogą prowadzącą do szkółki, umalowała sobie usteczka czarnym sokiem dojrzałych morw... Chociaż była wielce ze wszystkiego uradowana, oczy jej przysłaniała lekka mgła lez słodkich.

Roger prowadził ją lub szedł za nią, uszczęśliwiony jej rozrzwieniem, jednakże nie uśmiechał się: był jakiś milczący i daremnie silił się ukryć jakiś nieokreślony smutek. Tak, niewątpliwie od przybycia do miasteczka Roger był dziwnie zamyślony i posępny.

Pewnego poranku, ubrawszy się pośpiesznie, wyszedł szybko z pokoju hotelowego, gdy Cecylia jeszcze spała, i nie złożywszy na jej czole lub ustach zwykłego pocałunku, który byłby ją zbudził.

Przeszedł miasteczko, minął ostatnie domy i wszedł na cmentarz, gdzie w blaskach słonecznych promieni, białe kolumny i pomniki grobowe. Wreszcie zatrzymał się przed płytą kamienną, na której wypisane było imię: „Dyoniza“ i wiek: „lat piętnaście.“ Ukłękł i zasłonił twarz rękami.

Bo nie wszystko Cecylii powiedział; nie o wszystkich opowiadał jej wspomnieniach ze swych lat młodzińskich. Cecylia nie wiedziała, iż on, młodzieniaszek jeszcze, kochał dziewczętkę dziecko i że to biedactwo umarło w smutną noc jesienną przed pierwszym jeszcze pocałunkiem. On nie zapomniał o niej. I teraz oto przed tym grobem, gdzie ją złożono, widział ją, jakgdyby żywą, taką wdzięczną z temi słodkimi błękitnymi oczyma i delikatnymi usteczkami, niezarbarwionemi jeszcze purpurą krwi, żywiej krążącej. Odtwarzał w wyobraźni owe chwile ukradkowych spotkań za płotem ogródka, wszystkie odczuwane wówczas nadzieje, lub niecierpliwości, gdy oczekiwał na list Dyonizy, który ona codziennie, wracając z pensyi, wsuwała pod furtkę. W ciszy cmentarnej słyszał głos Dyonizy, potem stanął mu w pamięci okrutny obraz jej śmierci, miał przed oczyma jej bladą twarzyczkę z zamkniętymi powiekami, spoczywającą na zarzuconej białem kwieciem poduszce; tak samo cierpiał w tej chwili, jak przed dziewięcioma laty. Po twarzy jego spływały łzy serdeczne.

Nagle za sobą usłyszał szmer jakiś, odwrócił się: Cecylia, która wyszła za nim, stała niedaleko, patrząc na niego i na kamień grobowy. Zapewne przeczytała imię: „Dyoniza,“ i wiek: „lat piętnaście“ i niewątpliwie wszystko odgadła. Roger podniósł się drżący, nie śmiał wyrzec słowa do żony, ani ująć jej ręki; tylko jak dziecko schwyte na złym uczynku, odsunął się—oddalił kilka kroków, nakoniec wyszedł za bramę cmentarną.

Długo błądził po polach, nie wiedząc co czynić, nie mając odwagi powracać do miasta. Lękał się spotkania z Cecylią; bo, znając jej naturę kochającą a zazdrosną, wyobrażał sobie, jak musi być rozgniewaną, a może smutną, co byłoby stokroć gorzej. O! bezwątpienia wiedziała już teraz wszystko, co przed nią ukrywał: wiedziała, że kochał niegdyś i kochał gorąco, skoro teraz jeszcze śmierć ukochanej oplakiwał. Przebaczyłaby może dawną miłość, ale nie przebaczy dzisiejszych łez, w których odkrywała dawne przywiązanie. Myślał, jakimi to powita go okrutnymi słowami, lub obsypie gradem żałosnych wyrzekań i wymówek.

Daremnie powtarzać jej będzie, że to dziecinne uczucie w sercu jego blade już tylko, niewyraźne pozostawiło wspomnienia, rozbudzone przez powrót do miasteczka—uczucie, które wobec prawie zapomnianego grobu ujawniło się tylko bólem. Alboż zachodziło najmniejsze podobieństwo pomiędzy dziecinnem marzeniem, zwiędłym, zgasłym, dawno rozwianem, a rzeczywistością mężkiej, gorącej, wiekuiestej miłości, jaką miał dla niej, dla swej Cecylii? Onaż-to ma być zazdrosną! zazdrosną o dziewczętko zmarłe przed rozwinięciem nawet wdzięków i serca! Co za szaleństwo! Naprózno przecież będzie mówił to wszystko, i wiele jeszcze innych rzeczy: ona nie zechce słuchać powtarzając wśród łez i łkań: „Kochałeś ją! kochałeś! Kochasz jeszcze!“ Lub też—co byłoby stokroć gorszem, — nie wyrzecz ani słowa, tylko patrzeć będzie na niego chłodnym wzrokiem kobiety, mającej pozostać nazawsze niewzruszoną...

Jednakże nie mógł błędzić dzień cały po polu: trzeba było powracać do hotelu, gdzie zapewne już się i Cecylia znajdowała. Odnalazł drogę, postanawiając iść prędko; lecz w miarę zbliżania się do miasta, pomimowolnie zwalniał kroku, zaledwie też w godzinę stanął przed hotelem, dzieś minut przynajmniej szedł po schodach a przed drzwiami numeru serce biło mu w piersiach, jak młotem. Nakoniec wszedł.

Niestety! Cóż mu powie Cecylia, jeżeli raczy

przemówić? Spodziewał się słów strasznych lub przerażającego milczenia.

Otóż nie; Cecylia odezwała się łagodnie słodkim swym głosem:

— A... powróciłeś nareszcie.

I uśmiechnięta podała mu czoło do pocałowania.

Jakto, nie gniewała się, nie była smutną? (Nie uważał, iż miała oczy trochę czerwone, jakgdyby dopiero płakała). A może też nie czytała napisu na grobowym kamieniu—pomyślał Roger.

Czekało go jeszcze większe zdziwienie.

Na stole leżały wonne pęki lilii i róż białych, jakgdyby przygotowane na jakąś uroczystość, a widocznie tylko co przyniesione przez kwiaciarkę.

Roger zapytał niepewnym głosem:

— Cesi... na co te kwiaty?

— Jakto?—odparła Cecylia, a głos jej stał się jeszcze miększym—alboż nie uważałeś, jak był ogołoconym, jak wyglądał smutno ten grób na cmentarzu? Właśnie te kwiaty, Rogerze, zaniesiesz Dyonizie.

— O, drogi aniele—zawołał Roger, padając na kolana—jakże jesteś litościwą dla mnie, a dobrą dla biednej małej, która tak młodo zasnęła snem wiecznym! O! tak, zaniosę jej te kwiaty,—a raczej zaniesiemy je oboje.

Lecz Cecylia odrzekła:

— O... co to, to nie.

I po chwili dodała ze smętnym uśmiechem:

— Widzisz, mój drogi, my nawet już po śmierci jesteśmy o ukochanych naszych troszkę zazdrosne; gdybym ci towarzyszyła na cmentarz, Dyoniza mniej byłaby zadowolona z kwiatów złożonych na jej grobie.

## Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Wystawa nasion** w Muzeum Przemysłowem została otwartą w Niedzielę dnia 7 Października. Trzecia z kolei, liczy ona kilkudziesięciu wystawców; wśród przedstawionych okazów uderza wzrok wystawa hrabiny Maryi Potockiej z Wysokiego Litewskiego, mieszcząca się w ozdobnym i bardzo gustownym kiosku. Powstał projekt, aby przedniejsze okazy nasion, oraz przedmioty z drzewa i metalu zostały wysłane na wystawę paryżką.

— **Księgarnia G. Bethnera i Wolfa** wydała nowy „Katalog książek polskich“ z ostatnich lat kilkunastu. Mieści on 17 działów, obejmujących naukowe i beletrystyczne wydawnictwa.

— **Stały Teatr polski** został otwarty w Łodzi. Zostaje on pod kierunkiem Lucyana Kościeleckiego, niegdyś dyrektora teatru w Poznaniu; zaopatrzony jest w dwadzieścia nowych dekoracji, a personal jego, włącznie z administracją, liczy 74 osób. Mieści się on w odnowionym i starannie do celu swego urządzonym gmachu „Wiktorya“ a jest to piąty z kolei stały teatr polski.

— **Kuryer Krakowski** wychodzący pod redakcją p. Bartoszewicza, przemienił się z pisma codziennego na tygodniowe.

— **Sprzedaż Zakopanego** została ostatecznie unieważnioną na zasadzie, że licytacja odbyta była nieprawidłowo.

— **Nowa instytucja naukowa**, z celem zbadania Alp Polskich pod względem przyrodniczym i etnograficznym, została zawiązaną w Zakopanem pod nazwaniem: „*Muzeum Tatrzańskie* imię-

nia Dra Chałubińskiego.“ Członek założyciel składa jednorazowo 200 zł. reń., zwyczajny płaci rocznie 10 zł. reń. Zarząd składa się z pięciu osób oraz kustosza, bibliotekarza i skarbnika. Budynek, w czystym stylu budownictwa górali tatrzańskich, mieścić będzie dwa oddziały: przyrodniczy i etnograficzny. Z posiadanych obecnie przedmiotów najważniejszym jest zbiór niemal zupełny ptaków i ssaków, meków, roślin jawnokwiatowych i minerałów tatrzańskich. Muzeum zakłada sobie jeszcze jeden cel praktyczny: wyzyskanie przemysłu i zasobów miejscowych, zwłaszcza rudy miedzianej, która zawiera wielki procent szacownego kruszcu.

— **Poznańskie Towarzystwo Czytelni** ogłosiło piśmiennie sprawozdanie z czynności swoich. W roku bieżącym rozpowszechniło ono 20.000 książek i założyło 96 czytelni: w Poznańskim, w Prusiech Wschodnich i Zachodnich, na Mazurach, w Warmii i na Szlązku. Czytelni takich istnieje blisko tysiąc.

— **W Ameryce** braknie polskim szkołom tamtejszym stosownie uzdolnionych nauczycieli. Z przyczyny, że nie uczą w nich języka angielskiego, który jest tu najpotrzebniejszym, uczni nie jest też w nich tyle, ileby należało; dzieci oddawane są tłumnie do szkół miejscowych, gdzie znów braknie im wykształcenia w kierunku własnej narodowości. Mimo to wszystko powstają wciąż szkoły polskie, usiłujące odpowiedzieć zadaniu. Towarzystwo gymnastyczne *Sokol polsko-amerykański*, powstało w Chicago pod natchnieniem takiegoż stowarzyszenia czeskiego, *Sokol czeski*, który zyczliwie podał dłoń bratnią *Sokolowi polskiemu*, używając mu rad, narzędzi i nauki bezpłatnie. W Nowym Yorku powstała z pomocą p. Jerzmanowskiego *Czytelnia polska*, mająca własny lokal, książki i krajowe pisma peryodyczne.

— **Pomnik księcia Józefa Poniatowskiego** w Lipsku został odnowiony przez Stowarzyszenie konserwowania pamiątek historycznych, przyczem widownia, wśród której się wznosi, zyskała na efekcie i perspektywie, przez rozebranie starego muru, który go przysłaniał.

— **W Wiedniu** na wystawie, liczącej przeszło 2.000 wystawców i 15.000 okazów, Galicya prezentuje się bardzo dobrze, tak w dziale owoców świeżych, jak i przerobów owocowych, a to konserwów, owoców suszonych, marmolady i napojów owocowych. Każdy pawilon wystawy jest obsługiwany przez dziewczęta w strojach swojej okolicy i te kostiumy narodowe objaśniają zaraz na wstępie: z kąd pochodzą przedstawiane okazy.

— **Cezar Correnti**, senator państwa włoskiego, przytem uczony i dziejopisarz, zmarł w Rzymie d. 5 Października. Człowiek to był szlachetny, a nasz wielki przyjaciel; popolsku umiał i żył w ścisłej zażyłości z kilku pisarzami naszymi, przebywającymi we Włoszech, w której-to liczbie był i Kraszewski. Obznajomiony z literaturą i piśmiennictwem naszym, napisał i już do druku przygotował historią dziejów i literatury naszej, przytem pisał i wydawał studia pojedyncze o poezji i poetach naszych. W założeniu Akademii Mickiewicza brał czynny udział.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina**, przez Waltera Besant'a.

**TREŚĆ.** Pawędka. — Czytanie rodzinne, (dalszy ciąg). — Ze spuścizny olbrzyma, (dalszy ciąg), przez Miriam'a — Na Krasnym Dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — Notatki pedagogiczne. — Serce kobiece przekład M. Kostrowickiej — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje** Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina**, przez Waltera Besant'a. — Przegląd mód. — 24 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — Dyspozycją stołu